

W CIENIU WYZWOLENIA – GDAŃSK 1945

Zasadniczą część niniejszego tekstu tworzą relacje trójki młodych (wiosną 1945 r.) gdańszczan o polskich korzeniach. Przeżyli w Gdańsku wojnę, trudny czas nalotów i wyzwolenia. Zawarte w relacjach Eugenii Meirowskiej¹, Magdaleny Meller² i Henryka Chudacza³ wspomnienia uzupełniają teksty publikowane, mało jednak znane lub już zapomniane. Powstała całość ukazuje złożoność sytuacji i atmosfery z czasu wyzwolenia Gdańska. Warto przypomnieć tragiczne losy ludności cywilnej zdobywanego przez Armię Czerwoną miasta.

„Ciasne ulice i uliczki Gdańska były w tych dniach całkowicie zapchane wozami. Konie pozostawały w zaprzęgach, póki nie padły. Uciekinierzy cisnęli się do najbliższych domów, błądzili w poszukiwaniu staćków, którymi mogliby się zabrać, lub spędzali dnie i noce na swoich wozach [...]. Na otoczonym terenie zatrzymało się, oprócz związków bojowych i rozbitych oddziałów, przynajmniej półtora miliona ludzi. Do tej liczby doszło jeszcze sto tysięcy rannych z Kurlandii, Prus Wschodnich i z najbliższej linii frontu”⁴.

Przyfrontowa codzienność

Henryk Chudacz: W marcu 1945 r. byłem zatrudniony jako elektromonter w Zakładzie Elektrotechnicznym A. Voight und Co. przy ulicy Podwale Przedmiejskie 50 na Starym Przedmieściu. Pracowałem tu od stycznia 1945 r. W stosunku do połowy 1944 r., kiedy to w zakładzie pracowało 150 osób, teraz było nas zaledwie piętnastu. Na swoje potrzeby wzmocniliśmy schron, przebiliśmy dwa wyjścia awaryjne i uzupełniliśmy jego wyposażenie. Braliśmy udział w akcjach pogotowia technicznego, przeciwpożarowych i odgruzowywania (tzw. *Bergungsgruppe*). Pracowaliśmy ciężko, bez żadnych ograniczeń czasowych i w wielu miejscach.

Wzywano nas często do pomocy po nocnych bombardowaniach. Naszym zadaniem było zapewnienie oświetlenia zburzonego obiektu przy poszukiwaniu zabitych i rannych. Do tego też celu mieliśmy w pogotowiu odpowiedni sprzęt: prądownicę na palecie, stojaki z reflektorami, paliwo i kable. Kiedyś z takim sprzętem skierowano nas do Wrzeszcza, gdzie na rogu ulic Jesionowej i Grunwaldzkiej zostały zburzone budynki mieszkalne. Był to pechowy wyjazd. Na miejsce zawiózł nas zakładowy wóz ciężarowy „Framo” na Holzgas (gaz drzewny). Już po drodze trzy razy stawał. Chwilę po uruchomieniu pierwszego reflektora przy zburzonych budynkach usłyszałem warkot silnika samolotu, zwabił go na pewno mój reflektor. Szybko go stłukłem i skoczyłem do bramy, w której kilka rąk wciągnęło mnie głębiej. Usłyszeliśmy wybuch bomby. Z moich urządzeń nic nie zostało.

¹ Relacja E. Meirowskiej (październik 2003 r.), w zbiorach W.K.

² Relacja M. Meller (m.in. kwiecień 2002, listopad i grudzień 2003 r.), w zbiorach W.K.

³ Relacja H. Chudacza (zm. 2004) [w:] *Wspomnienia z oblężenia Gdańska w roku 1945*, kopia maszynopisu przekazana przez P. Artwicha w styczniu 2005 r., wybór i opracowanie W.K.

⁴ J. Thorwald, *Wielka ucieczka*, Kraków 1998, s. 145.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Innego dnia z kolegą zakładałem nową napowietrzną linię elektryczną na Olszynie. Stojąc na jedenastometrowym słupie, wymieniałem izolatory. Kiedy zauważyłem nadlatujący samolot, błyskawicznie znalazłem się na ziemi i skoczyłem pod stertę desek, które leżały nieopodal. Był to nienotowany dotąd rekord schodzenia ze słupa. Gdy ja leżałem już pod deskami, kolega dopiero odpinał na ziemi słupopasy. Całe szczęście, że pilot samolotu nie zainteresował się dwoma elektrykami na słupach. Bombę zrzucił obok zajezdni tramwajowej przy ulicy Łąkowej.

W czasie oblężenia miasta w zakładzie pozostało nas już tylko ośmiu. Gasiliśmy pożary i zbieraliśmy po piwnicach żywność. Wodę nosiliśmy w nocy z jedynej studni przy Baszcie Narożnej. W pierwszych dniach oblężenia znalazłem zabitego odłamkiem pocisku konia. Byłem z siebie zadowolony, szybko pobiegłem do schronu po kolegę i „narzędzia rzeźnicze”. Do schronu przynieśliśmy dwa wiadra mięsa, jedyne w czasie oblężenia. Moczyliśmy je długo w occie, koń niestety z nas zadrwił, nie dał się skruszyć. Konsumpcja wymagała dużego wysiłku.

Postanowiliśmy poszukać czegoś do zjedzenia w domu kolegi przy ulicy Św. Ducha. Miasto już płonęło. Musieliśmy przejść przez Targ Węglowy. Tu w zbiorniku przed Zbrojownią zamoczyliśmy worki i nałożyliśmy je sobie na głowę i plecy. Po dotarciu na ulicę Teatralną stwierdziliśmy, że górne piętra domów, w tym jego, już płoną. Wracaliśmy ulicą Szeroką, Targiem Drzewnym i Targiem Węglowym. Byliśmy wstrząśnięci, dookoła nie było żywej duszy. Na Stare Przedmieście wróciliśmy w milczeniu.

Krótko przed zakończeniem oblężenia zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia schronu. W nocy obudził nas potężny huk. Początkowo myśleliśmy, że to bomba. Okazało się, że przewrócił się ruiny sąsiedniego budynku. Gruzy zasypały nam wejście. W ciemności, po męczącej pracy i po przebicciu się przez ścianę fundamentów, złapaliśmy świeże powietrze. Tędy wyszliśmy na ulicę Podwałe Staromiejskie. Nigdy wcześniej nie widziałem tak czarnych i brudnych ludzi.

Część kolegów udała się do Dolnego Miasta. Ja, wraz z dwoma, wybraliśmy schron apteki przy ulicy Słodowników. Kiedyś zakładałem w nim instalację. Na miejscu zorientowaliśmy się, że jest zasypany warstwą gruzu po zrujnowanym budynku. Odgruzowaliśmy wejście i weszliśmy do środka. Dopisało nam szczęście, znaleźliśmy kartofle, miód sztuczny, topiony ser i kilka słoików z warzywami. Wkrótce dołączyli do nas inni „Robinsonowie” z Podwała Przedmiejskiego.

Życie i śmierć w schronach

Eugenia Meirowska: Początkowo ukrywaliśmy się w piwnicy domu przy ulicy Rajskiej. Byli też ze mną matka, siostra i brat. To, że przeżyłam, zawdzięczam między innymi jemu. Zdezerterował z wojska niemieckiego i ukrywał się. Ciągłe mnie instruował, jak się zachować w trakcie nalotu. Gdy bomby spadły na nasz dom, zaczęłam się wyczołgiwać z mokrym ręcznikiem przy twarzy. On szedł przede mną. Już na zewnątrz zgubiliśmy się. Niedaleko ulicy Wałowej podmuch wybuchu bomby uniósł mnie w powietrze i rzucił na ziemię. Ranna doczołgałam się do jednego z największych schronów pod dzisiejszym budynkiem „Solidarności”. Schron wybudowali wcześniej jeńcy wojenni, drugi podobny był obok Poczty Polskiej, tysiące osób się w nich kryły. W schronie zajęli się mną lekarze, miałam uszkodzone kolano i zaniki pamięci. Doczekałam tu wyzwolenia, gdy wyszliśmy, wokół było morze gruzów.

Henryk Chudacz: Tragedia dotknęła mieszkańców, którzy schronili się w czasie nalotu do podziemnego dużego schronu przy Hali Targowej na Starym Mieście. Bombardowanie doprowadziło do zniszczenia urządzeń odprowadzających wody kanałami podziemnymi do Motławy. Spowodowało to zalanie schronu wodą. Przebywający w schronie utonęli, podobno wszyscy.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Uderzenie bomby w dach innego, wielokondygnacyjnego schronu przy Osieku zniszczyło część betonowego stropu. Od zniszczeń i wytworzonego wybuchem ciśnienia zginęło wielu ludzi na górnych kondygnacjach, wielu innych było rannych. Trzeci duży publiczny schron zlokalizowany był przy Wałach Piastowskich. Bomby go ominęły, a schron po wojnie rozebrano w związku z budową nowych układów drogowych.

Obok już wspomnianych, w trakcie prac instalacyjnych poznałem jeszcze schron Fabryki Wyrobów Tytoniowych przy ulicy Łąkowej. Pechowy okazał się schron zakładowy Fabryki Octu i Musztardy przy ulicy Toruńskiej. Kończyłem w nim naprawę instalacji elektrycznej, kiedy ogłoszono alarm lotniczy. Nie skorzystałem z propozycji pozostania w schronie. Zdecydowałem się przebiec do kolegi mieszkającego na Olszynie. Nie zdążyłem, dobiegłem tylko do schronu ziemnego przy Bastionie Wilk, tam odczułem wybuchy bomb i falowanie ziemi. Po nalocie wróciłem na Toruńską i dowiedziałem się o wybuchu bomby w schronie. Zginęli wszyscy, którzy w nim zostali.

Naloty

Henryk Chudacz: Samoloty nadlatywały od strony morza, często niespodziewanie. W związku z tym były przypadki, że bomby spadały wcześniej od ogłoszenia alarmu. W nalach nocnych używano rakiet świetlnych na spadochronach. Stary Gdańsk był nocą doskonale widoczny. Mimo że naloty były głównie kierowane na port i zakłady przemysłowe, to bomby spadały też na dzielnice mieszkaniowe.

Pamiętam, gdy bomba trafiła w halę sportową przy ulicy 3 Maja, nieopodal Dworca Głównego. W hali tej przebywali uchodźcy. Wśród rozlokowanych na podłodze wielu straciło życie, wielu innych było rannych. Halę po wojnie rozebrano i urządzono na jej terenie parking.

Kiedyś, gdy wracałem ulicą Kartuską, gdzie naprawiałem instalację w jednym ze sklepów, byłem świadkiem ataku angielskiego myśliwca. Słyszając warkot samolotu, ludzie uciekali do bram kamienic. Alarmu wówczas nie ogłoszono i samolot, kierując się na Głównie Miasto, ostrzeliwał ulicę Kartuską. Tym razem jednak nie widziałem zabitych i rannych.

Kiedy indziej przechodziłem z ulicy Łagiewników na Długi Targ. Po ogłoszeniu alarmu zdążyłem dobiec do ulicy Chmielnej i gdy usłyszałem warkot silnika samolotu padłem przy spichrzu. Po chwili usłyszałem wybuch bomby. Wracając, zorientowałem się, że bomba trafiła Ratusz przy ulicy Długiej. Uderzyła w pionie Białej Sali. W czasie oblężenia Ratusz spłonął.

Dyżurując często na dachu trzypiętrowej kamienicy w zakładzie pracy, zauważyłem, że na wieży kościoła Mariackiego zainstalował się wojskowy punkt obserwacyjny. Informował on o nalotach bombowych i ich kierunkach. Po słowach: „*Achtung, Achtung er kommt*” (uwaga, uwaga nadchodzi) padały zakodowane kierunki nalotu. Dokonywane obserwacje decydowały o zejściu z dachu do schronu. Kiedyś zauważyłem, że nad lasami Wrzeszcza leciały trzy dwupłatowe samoloty rosyjskie. Zrzucały masę małych bomb na zgrupowania niemieckie w tych lasach. W pewnym momencie nadleciał niemiecki myśliwiec. Znacznie szybszy i lepiej uzbrojony, zaatakował samoloty rosyjskie. Wszystkie odleciały na zachód, w tym dwa ze smugą czarnego dymu. Bombardowanie Gdańska ustało dopiero z chwilą, gdy front znalazł się już na jego terenie.

*

W końcu marca 1945 r. „ściana dymu” przez kilka dni sięgała wysokości czterech do pięciu tysięcy metrów. „Apokaliptycznego obrazu dopełniała grobowa cisza, którą mącił tylko syk szalejącego ognia, trzaski walących się stropów oraz rumor osypujących się ścian.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Miasto dopalało się dobry miesiąc. Do samej jesieni dopalały się magazyny na Wyspie Spichrzów. Wszędzie czuło się swąd, zmieszany z odorem trupów i padliny⁵.

Ofiary

W nękanym nalotami mieście przybywało z dnia na dzień trupów. W piwnicy plebanii na Podwalu Staromiejskim krył się z żoną i trzydziestoma uchodźcami pastor z pobliskiego kościoła ewangelickiego. Jak długo mógł, organizował pogrzeby. Niejednokrotnie, gdy nadlatywały samoloty, modlitwę kończyli w ukryciu, za najbliższymi nagrobkami. Wkrótce też zabrakło żałobników, było za to coraz więcej zmarłych. Ostatecznie zaniechali urządzania pogrzebów⁶.

Henryk Chudacz: W Akademii Medycznej, gdzie przeprowadziłem konserwację silników w kostnicy szpitalnej, zauważyłem, że wszystkie szuflady na ścianach są wypełnione zwłokami. Trupy leżały też warstwami na podłodze. „Specjalista” od tej kostnicy-chłodni wyjaśnił mi, że są to zwłoki z jednej nocy, a zmarli pochodzą z ewakuowanych terenów wschodnich.

W innym miejscu, w Nowym Porcie, w dużym budynku przy ulicy Oliwskiej, urządzono szpital dla rannych uchodźców przewożonych statkami ze wschodu. Na potrzeby sali operacyjnej szpitala doprowadziłem krótką linię energetyczną 360 V. Linia miała rozgałęzienia do sześciu stanowisk operacyjnych. Przy okazji i za zgodą lekarza spełniłem prośbę chorego i założyłem mu obok łóżka lampkę nocną. Był ciężko ranny, pochodził z Krynicy Morskiej. Również w tym szpitalu była duża śmiertelność. Codziennie, idąc wcześniej rano do pracy, widziałem wywożonych ze szpitala zmarłych. Układano ich warstwami na platformie konnej i przykrywając plandekami wywożono, podobno do mogił zbiorowych. Na urządzenie kostnicy i chłodni w szpitalu zabrakło czasu. Zmarłych układano warstwami w piwnicy.

Śmierć „dezertarów”

Eugenia Meirowska: Miałam 15 lat, byłam młodą i krnąbrną dziewczyną. Niczym chłopakowi, odwagi mi nie brakowało, musiałam wszystko zobaczyć. Szczęściem kończyło się najwyżej odciskiem ręki matki na twarzy. Na kilka tygodni przed wyzwoleniem udałam się na dzisiejszą Aleję Zwycięstwa. Trwała tam egzekucja. Jeden z samochodów podjeżdżał pod drzewa i zakładano z niego sznury na gałęziach. Drugi samochód podjeżdżał ze skażącami. Byli bez pagonów i z zawieszonymi na szyi tablicami, m.in.: „byłem zbyt tchórzliwy”, „byłem zdrajcą narodu”. Wchodzili na drewniane stopnie, zakładano im pętle na szyje i samochód odjeżdżał. Pętle na wisielcach się zaciskały. Po kilkudziesięciu minutach

⁵ T. Jankowski, *Miasto na furmankach*, „30 dni”, nr 6 (32), czerwiec 2001. Dopiero w ostatnich latach, we współczesnej już literaturze poruszającej zagadnienie zniszczeń Śródmieścia, w tym Starego Miasta w Gdańsku, wskazuje się, że tylko 40 do 50 proc. było wynikiem wcześniejszych nalotów lotniczych, ostrzału sowieckiej artylerii i z niemieckich okrętów wojennych, a także bezpośrednich walk wyzwoleniczych. Coraz częściej za przyczynę ostatecznego, ponad 90-procentowego stanu zniszczeń uznaje się późniejsze celowe, świadome i niemal planowe burzenie i palenie miasta przez żołnierzy sowieckich [*ibidem*, a także m.in. M. Abramowicz, *Gdańsk – marzec 1945*, „30 dni”, nr 3 (17), marzec 2000]. Nieosamotniona w zachowanych relacjach, cytowana w materiale M. Meller wspomina: „grupy Rosjan szły od domu do domu, po splądrowaniu wrzucały w nie wiązki granatów”. Tak według niej spalono i zburzono m.in. szereg budynków przy ulicy Kartuskiej, jak również przy mniejszych uliczkach w jej okolicy.

⁶ E. Kieser, *Zatoka Gdańska 1945. Dokumentacja dramatu*, Gdańsk 2003, s. 196.

podjeżdżał trzeci samochód, cały obity blachą, z otworem od góry. Podobnie jak na poprzednich, na nim też stali esesmani. Wisielców odcinano i wpuszczano przez otwór do samochodu. Po chwili „taśmociąg” śmierci ruszał od nowa. Wielu wtedy stracono, ilu – tego nie wiem, odeszłam, nim egzekucja dobiegła końca.

Henryk Chudacz: W stoczni na Ostrowiu brałem przez kilka dni udział w demontażu niektórych maszyn (części elektrycznych). Maszyny były przenoszone na statki, które w późniejszym okresie wypływały wraz z uchodźcami do Niemiec. Dowiedziałem się od znajomego, że w schronie rozstrzelano marynarza za dezercję. Symulował chorobę oczu.

Wracając kiedyś wieczorem do Starego Przedmieścia, zauważyłem na drzewach Alei Lip, nieopodal Bramy Oliwskiej, około 10 wisielców. Powieszono ich od strony Traktu Konnego. Po kilku dniach ciała „przewieszono” od strony torów tramwajowych. Ubrani byli w cywilne ubrania i mieli na piersiach tabliczki z napisami, m.in.: „dezertier”, „maruder”, „bandyta”.

*

W ostatnich dniach przed wyzwoleniem straconych już nie zdejmowano, straszili swym widokiem broniących się i atakujących. Zbigniew Flisowski, opisując udział żołnierzy polskich w bezpośrednich walkach o miasto, wspominał: „Czołgiści i piechurzy przedzierali się przez szosę usianą rozbitymi pojazdami i pokrytą lejami. Co chwilę natrafiali na upiorne widoki: na drzewach, słupach telefonicznych i latarniach wisieli niemieccy żołnierze, którzy stali się obiektem ludobójczych komand »dla utrzymania porządku i dyscypliny« [...]. Nowa makabryczna scena – sześć kobiet powieszonych »za odmowę pracy«, jak głosiły tabliczki”⁷.

Po zakończeniu walk trupy wisielców zdjęto, same miejsca straszły jeszcze dużo dłużej. Przejmujące pozostaje wspomnienie Ireny Przewłockiej z jej przyjazdu do „miasta-upiora”: „Wysiadłam u progu Alei [...]. Szłam wolno między rzędami drzew [...], jakoś na tle ogólnej ruiny – niedorzecznie pięknych i żywych [...]. Oto uderzyły mnie widniejące tu i ówdzie na czarnych pniach, mażnięte białą olejną farbą nieforemne krzyże, znaczone jakby w pośpiechu. Powtarzały się co parę kroków, intrygowały. Wokół pusto, nigdzie śladu żywej istoty. Nagle wyłaniająca się zza drzew stara kobieta w czarnym zrudziałym płaszczu, wysoka jak kolumna, chuda, wyschła, ze spiczastym nosem i zakrzywioną agresywnie brodą. Tak musiały chyba wyglądać czarownice z »Nocy Walpurgii« [...], próbowałam się dogadać, co by miały oznaczać te krzyże [...], zjawia niechętnie machnęła ręką i podreptała w boczną uliczkę [...]. Wkrótce dowiedziałam się wszystkiego [...]. Wieszano na lipach i wiązach tych swoich żołnierzy, którzy przejrawszy nieuchronną klęskę, świadomi, że Rzesza się wali w gruzy, cisnęli bronią o bruk, próbując przekraść się do życia. Potem czyjaś pobożna ręka poznażyła krzyżami te drzewa-szubienice”⁸.

Pożary

Henryk Chudacz: W czasie ataku na Stary Gdańsk (Główne Miasto, Stare Przedmieście, Stare Miasto, Wyspę Spichrzów i Dolne Miasto) znalazł się on pod ostrzałem artyleryjskim. Wybuchaly liczne pożary. Mieszkańcy uciekali masowo do bezpieczniejszych okolic. W Starym Gdańsku pozostali nieliczni. Nie było już komu zapanować nad rozszerzającym

⁷ Z. Flisowski, *Gdynia, Gdańsk. Marzec 1945*, Broszura Wydawnictwa MON, w zbiorach IPN Oddział Gdańsk.

⁸ I. Przewłocka, *Niewidoczne ślady*, Gdańsk 1980, s. 142–143.

się pożarem. Ogień przenosił się z budynku na budynek, z ulicy na ulicę. Kilka dni przed zakończeniem oblężenia przeszła przez Stare Przedmieście ostatnia grupa wojsk niemieckich, około 300 żołnierzy. Wycofywali się na ulicę Toruńską, prawdopodobnie do Sobieszewa. W tym samym dniu na wieży kościoła Św. Trójcy zauważyłem białą flagę.

Pożar Starego Przedmieścia rozpoczął się od terenów przy Motławie. Mieścił się tam zakład „Wandel” zaopatrujący Gdańsk w opał. Przed wojną zakład ten reklamował się w całym mieście hasłem: „Ganz Danzig brennt mit Kohlen vom »Wandel«” („Cały Gdańsk pali węglem od Wandla”). Gdy wybuchł pożar, hasło brzmiało niczym czarny humor. Ogień rozprzestrzenił się wzdłuż Podwala Staromiejskiego. Po dojściu do naszego budynku, przy ulicy Żabi Kruk 47, udało nam się go jeszcze ugasić piachem i wodą.

Kiedy pożar z drugiej strony ulicy doszedł do wysokości naszego budynku, usunęliśmy na wszystkich piętrach z pomieszczeń materiały łatwo palne, m.in. firany, meble i chodniki. Udało nam się uratować nasz budynek. Pomagaliśmy też gasić pożary u naszych znajomych z warsztatów samochodowego „Hubnera” i ślusarskiego „Klosego” przy ulicy Rzeźnickiej. Wkrótce przekonaliśmy się, że była to praca syzyfowa. Ogień przenosił się też z Głównego Miasta.

Eugenia Meirowska: Do jednych z najstraszniejszych należał też styczniowy pożar budynku Strzelnicy Fryderyka Wilhelma przy ulicy 3 Maja. Ulokowani w nim byli uciekinierzy, głównie kobiety, starcy i dzieci. Po nalocie stałam niedaleko. Piekło nie może być gorsze. Przeraźliwy krzyk kobiet i dzieci, bydło i konie żywcem się smażyły, płomienie unosiły iskry aż do dworca.

Czas gwałtów i grabieży

„We wtorek, 27 marca, do Bramy Oliwskiej dotarł trzyosobowy zwiad Rosjan. Volksgrenadierzy zmusili ich panzerfaustami do wycofania się. Nie na długo. Większe oddziały sowieckie przedarły się obok parku Daszyńskiego i przez Jana z Kolna dotarły w okolice dworca. Z okien Nadprezydium Skarbowego przy ulicy 3 Maja otworzyli do nich ogień volksgrenadierzy i żołnierze Waffen-SS. Rosjanie odpowiedzieli ze zdobycznych panzerfaustów. Budynek drżał od wybuchów. Żołnierze niemieccy rozpoczęli odwrót. Nim odeszli, pomogli przenieść sparaliżowaną kobietę i jej ośmioletniego synka do samochodu. Leżała w piwnicy i mogła poruszać tylko oczami, zrezygnowana czekała już tylko na to, aż przyjdą Rosjanie i się na nią rzucą. Przechodzący oficer powiedział krótko do jej męża: „Nie zostawimy tu pana żony”⁹.

Magdalena Meller: Gdy nadeszli Rosjanie, wraz z koleżankami byłyśmy ukryte w zakamarkach parteru Dworca Głównego w Gdańsku. Schowałyśmy się tu przed ostrzałem związanym z opanowywaniem tych okolic. Budynek dobrze znałam, wcześniej byłam tu zatrudniona jako kancelistka w restauracji dworcowej. W chwili gdy do budynku weszli skończący żołnierze mongolscy wojsk sowieckich, byłyśmy w dalszym ciągu w ukryciu. Bałyśmy się. Szybko znaleźli jedną z moich koleżanek, młodą i śliczną dziewczynę. Rzucili ją na duży stół w jednej z sal. Odarto ją z odzieży i przytrzymując rozciągniętą, wielokrotnie brutalnie zgwałcono. Z ukrycia wyszłyśmy dopiero, gdy żołnierze odeszli. Poszłyśmy pomóc nieszczęsnej. Była półprzytomna i zakrwawiona, ostatkiem sił schodziła, a właściwie zsuwała się ze stołu. Krew lała jej się po nogach.

⁹ E. Kieser, *Zatoka...*, s. 195.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Przerażone, kryjąc się przed żołnierzami, byle jak najdalej, uciekłyśmy z dworca. Udało mi się dotrzeć do kamienicy przy ulicy Powstańców Warszawskich 12. Mieszkaliśmy tam razem z matką, siostrą i swoją czteroletnią córką. Gdy nadszedł wieczór, wszyscy mieszkańcy, którzy nie zdążyli uciec, skupili się na parterze. Było nas pełno. Część dzieci siedziała na stole lub pod stołem w pokoju jadalnym, inne tuliły się do matek. Dorośli stali i siedzieli dookoła pokoju. W takiej też chwili do budynku weszła krzykliwa grupa żołnierzy sowieckich. Swoim zwyczajem rozpoczęli od grabieży zegarków i innych kosztowności. Jeden z nich zerwał mi z ręki mój nie-nakręcony zegarek. Przyłożył go do ucha, ten nie tykał, uznając, że jest zepsuty, z siłą cisnął nim o podłogę. Czas plądrowania i grabieży nie trwał długo. Rozpoczęły się krzyki: „rabotać”, czyli że chcą mieć stosunki z kobietami. Wywiekli do innych pomieszczeń i mieszkań w kamienicy wszystkie kobiety, które uznali za nadające się do zgwałcenia. Kładli je na stołach albo na łóżkach i ustawiali się do nich w kolejce. Los zgwałconych nie ominął mnie i mojej siostry.

Takie zdarzenia powtarzały się niemal każdego dnia. Robili to, gdy tylko mieli na to ochotę. Gdy któraś próbowała oporu, dostawała ostrzegawcze uderzenie łufą pepeszy w piersi. Miało to znaczyć, żeby uważała, bo w każdej chwili może zostać zastrzelona. Więc albo szła do „roboty”, albo dostawała serię przez pierś. Cud, że żyję, w tym czasie zabierali, trach i po wszystkim.

W następnych dniach uciekłyśmy z kamienicy i schroniłyśmy się w jakiejś starej chatupie. Nic nam to nie pomogło. Przyszło ich z siedmiu i chcieli też brać moją ponad sześćdziesięcioletnią i schorowaną matkę. Wtedy ja ją zastroniłam, mówiąc: „bierzcie mnie”. Błagałam, żeby jej nie ruszali. Ostatecznie, „z łaski”, zgodzili się.

Tylko raz mi się udało. W chwili gdy przyszli, byłam już w koszuli nocnej, gotowa do snu, zmęczona i blada. Odrzucili mnie z pogardą, być może uznali mnie za chorą, podejrzaną. Zgwałcili moją siostrę. Ci żołnierze to było chamstwo. Jednego z nich pamiętam do dzisiaj. Na obu rękach, jak wielu z nich, od nadgarstka po łokcie, obwieszony był zegarkami. To było takie jego prymitywne wyobrażenie bogactwa. Pianina „znosili” z pięter w ten sposób, że spuszczały je ze schodów. Koszmar i makabra trwały przez kilka tygodni. Czego nie ukradli, to zniszczyli. Nie zapomnę grup Rosjan na ulicy Kartuskiej. Już po wyzwoleniu szli od domu do domu i wrzucali w nie wiązki granatów. Jeszcze dziesięć lat temu nic bym o tym nie opowiedziała, dzisiaj, mając ponad osiemdziesiąt lat, mogę już – a może dopiero – mówić o tych okropieństwach.

*

„Rozpoczęła się niesamowita orgia grabieży, morderstw, brutalnych gwałtów, rabunków, podpaleń, aresztowań. Mordy, gwałty i grabieże dokonywane były także w świątyniach, w których chroniła się cywilna ludność, np. katedrze oliwskiej lub w kościele Św. Józefa w Gdańsku, gdzie spalono żywcem kilkadziesiąt osób”¹⁰.

*

Eugenia Meirowska: To były bestie, nie ludzie. Wielu z nich było skośnookimi Mongołami. Grabili mieszkania, rozpruwali kołdry, rozbijali garnki albo załatwiali się do nich. Wojna nie skończyła się w Gdańsku w marcu 1945 r. Dalej padały pociski i wybuchały granaty, grabież i gwałt były codziennością.

¹⁰ Cyt. za: A. Januszajtis, *Z dziejów kościoła Św. Józefa*, Gdańsk 2000 [w:] S. Bogdanowicz, *Bo przemoc widzę w mieście i niezgodę. Trudny początek Kościoła gdańskiego 1922–1945*, Gdańsk 2001, s. 285–286.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



5 maja zmarła moja siostra. W trakcie gwałtu zarażono ją chorobami zakaźnymi, w tym tyfusem. Po ciężkiej chorobie zmarła w Akademii Medycznej, opieka niemieckiego lekarza nie pomogła. Wiedziałam, czułam, że umiera. Mimo ostrzeżeń o zagrożeniach udałam się do niej. Niewiele starsza, dwudziestojednolletnia siostra była już w agonii. Umierając, nic nie mówiła. Mimo to do dzisiaj jestem przekonana, że byłam z nią w kontakcie i ją słyszałam. Czułam, że moje słowa żalu, pocieszenia i pożegnania dotarły też do niej.

Chodząc, a później przejeżdżając przez Gdańsk, widziałam nie raz leżące na poboczach dzisiejszej Alei Zwycięstwa odarte z odzieży, zgwałcone i martwe już kobiety. Takie przerażające obrazy można było spotkać jeszcze w kwietniu, a nawet w maju. Zapamiętałam też płaczące i rozpaczające dzieci, stały koło studni niedaleko basenu Politechniki. Mówiono, że rzuciły się do niej ich matki, które nie mogły znieść dokonanych na nich gwałtów.

Byłam jedną z niewielu, których nie zgwałcono. W chwili wyzwolenia byłam ranna, później uratowała mnie biało-czerwona opaska na rękawie i stosunkowo szybko znalazłam pracę. Zawieszone na drzwiach pismo w języku polskim i rosyjskim zwiększało moje szanse nietykalności. Koledzy przywozili mnie do pracy i odwozili po niej do domu.

Dzieci widziały

„Moją mamę, z powodu niesionej przez nią na rękach czternastomiesięcznej córki, »krasnoarmiejcy« zostawili w spokoju; moja szesnastoletnia siostra nie miała tyle szczęścia. Kiedy pierwszy Rosjanin gwałcił ją w baraku przy Wielkiej Alei, musieliśmy potulnie czekać na podwórzu. Nieco dalej pokazał się następny »mołodiec«. Dobiegałem wówczas ośmiu lat i patrzyłem na wszystko rozszerzonymi z przerażenia oczami”¹¹.

*

W wyniku działań wojennych wiele dzieci pozostało bez rodziców. O „pobieranych w piwnicach, znalezionych w powalonych kamienicach, przynoszonych przez litościwych ludzi lub po prostu podrzucanych za próg” jednego z tworzących się szpitali w Gdańsku wspomina Irena Przewłocka: „W sali szpitalnej, skąd wionęło karbolem, rzędy łóżeczek, pełne cierpiących niemowląt i starszych dzieci [...]. Na widok tych maleństw, o dużych, jakby rozdętych głowach i zapadłych oczach stałyśmy bezradnie, patrząc ze ściśniętym sercem na powleczone skórą szkieleciki o wyschłych patykach rąk i nóg. Bezpańskie istoty, pozostawione losowi i litościwym rękom.

Dwie z małych dziewczynek, splekane wśród ruin, znalazł i przyprowadził jakiś Rusek. Inny ranny chłopczyk [...] leży tu już dwa tygodnie, do dzisiaj nie powiedział słowa. Myśleliśmy, że niemy. Tymczasem rano, gdy siostra przyniosła dzieciom naręczne zabawek, pochwycił mały czerwony samochodzik i przemówił: »Moje autko, moje autko!« [...].

Jednostkowe losy, było ich wiele, każdy krył w sobie jakiś dziecinny, niewiadomy dramat, każdy wyrył piętno na cierpiącej twarzy. U dzieci starszych odbił się przerażeniem w oczach, nie rozumiejących okrucieństwa wojny [...]. Ogrom cierpienia wionął od tych szeregów, szeregów koszmarnych, od maleństw doświadczonych ciężko przez los! Całe rzędy chorych dzieci! Niektóre dyszały płytkim, powierzchownym oddechem, serce ich [...] jakby czekało tylko pretekstu, żeby się zatrzymać. Niektóre jęczały przejmującym jękiem, inne leżały, z przymkniętymi oczami, jak martwe. Mimo woli zaciskały się usta, a żeby nie

¹¹ Relacja Jana Wentowskiego [w:] Z. Gach, *Drugi dzień wolności*, „Dziennik Bałtycki”, 24 V 2002.

Fot. ze zbiorów Muzeum Państwowego w Gdańsku



krzyczeć w głos [...]. Chciało się jeszcze raz przekląć wojnę, Hitlera i cały pogrążony w szale zabijania świat”¹².

Jeniecki los wyzwolonego

Natarcie ruszyło 14 marca 1945 r. Po dziesięciu dniach, 24 marca, przełamano dwie linie umocnień zewnętrznych i rozpoczęły się bezpośrednie walki o miasto. 27 marca przystąpiono do ostatecznego szturmu, kolejnego dnia opanowano zachodnią część miasta. Po trzydniowych walkach, 30 marca, opór został złamany. Niedobitki garnizonu zepchnięto w bagnistą deltę Wisły, gdzie też wkrótce skapitulowały¹³.

*

Henryk Chudacz: Na zewnątrz zapadła cisza, był 28 marca. Wyszedłem ze schronu zorientować się w sytuacji. Nie miałem już możliwości powrotu. Na ulicy Podwale Staromiejskie spotkałem pierwszego żołnierza. Po zorientowaniu się, że nie mam zegarka, a także że nie wiem, gdzie można znaleźć wódkę, kazał mi iść z sobą. Doszliśmy do ulicy Rzeźnickiej w róg Św. Trójcy, kiedy padło kilka pocisków niemieckiej artylerii. Skoczyliśmy do bramy i usiedliśmy za murem. Wyjął puszkę grochu konserwowego, połowę zjadł, resztę mi dał.

Doprowadził mnie na ulicę Okopową, gdzie na zieleńcu siedzieli już około czterdziestu cywili. Pod wieczór utworzono z nas kolumnę i skierowano do Siedlec. Nocowaliśmy w jednym z budynków przy ulicy Kartuskiej. Stłoczono nas w jednym z mieszkań. W ciasnocie spaliliśmy na stojąco, co wcale nie było łatwe. Rano sformowano z nas ponownie kolumnę i skierowano na zachód. Po drodze udało mi się „urwać”. Wpadłem do bramy, przebiegłem podwórko, przez ulicę Zakopiańską i ogrody działkowe doszedłem do Bramy Oliwskiej. Miałem pecha, trafiłem na kolejnych „łapaczy”. Dołączyli mnie do kilku prowadzonych cywili.

Zaprowadzili nas do parku Daszyńskiego. Chowano tam właśnie wielu zabitych żołnierzy i cywili. Pracowała tam już grupa takich jak my. Po pochowaniu trupów zbito nas w kolumnę i skierowano do Wrzeszcza. W pobliżu Opery na ugorze stały działa rosyjskie. Gdy tamtędy przechodziliśmy, nastąpił ostrzał artylerii niemieckiej. Szukając schronienia, kolumna przebiegła do kaplicy cmentarnej po drugiej stronie alei (dzisiaj park przy Politechnice). Za zgodą żołnierza wyszedłem „za potrzebą”, pochylony zbiegłem między grobami i krzewami w kierunku Politechniki.

Już na początku Wrzeszcza trafiłem na kolejną grupę cywili prowadzonych przez Rosjan. Zostałem ponownie pojmany i do niej dołączony. Poprowadzono nas do dzielnicy willowej przy ulicy Uphagena. Przy dużej willi stały już trzy konne wozy. Załadowaliśmy je różnymi przedmiotami z wyposażenia domu. Wszystko nakryliśmy dywanami i związaliśmy. Kończyliśmy już w nocy, kazali nam iść spać, części do piwnicy, innym na piętro.

Rankiem tabor ruszył do Gdańska. Szedłem za ostatnim wozem i na wysokości ulicy Traugutta udało mi się umknąć. Nie na długo byłem wolny. Już na początku Wrzeszcza zgarnęła mnie kolejna grupa „łapaczy”. Przez Wrzeszcz kazano nam iść z podniesionymi rękami. Na wysokości ulicy Morskiej minęliśmy trzy spalone czołgi rosyjskie. Przy Grunwaldzkiej dużo obiektów było zniszczonych, wiele innych jeszcze płonęło.

Przy ulicy Lenziona minęliśmy zakład mleczarni. Tu w lutym przenieśli się moi rodzice z Podwala Przedmiejskiego. Nie zaszedłem do nich, bo miałem zajęte „ręce do góry”. Naj-

¹² I. Przewłocka, *Niewidoczne...*, s. 147–149.

¹³ B. Dolata, *Wyzwolenie Polski 1944–1945*, Warszawa 1974, s. 262–267.

ważniejsze jednak było stwierdzenie, że budynek nie uległ zniszczeniu. Stoi do dzisiaj między torami tramwajowymi. Nabrałem przekonania, że rodzice żyją, co też potem okazało się prawdą.

Przy pierwszym budynku przy ulicy Wojska Polskiego zrobiono nam postój. Pozwolono nam wejść i poszukać jedzenia. W kuchni na parterze znalazłem trzy salaterki zsiadłego mleka. Składały się z wody, twarogu i warstwy kurzu. Napilem się nim i najadłem, nic innego nie było. Kiedy ruszyliśmy dalej, dopadła mnie „żołnierz płci żeńskiej”. Przyłożyła mi pistolet do skroni, krzycząc histerycznie: „ja ciebie ubiję” i coś tam jeszcze na dodatek. Zmroziło mnie. Na szczęście doskoczył do niej inny żołnierz i rzucając wiązanką łaćniańską, spowodował odstąpienie „damy” od pierwotnych zamiarów.

Doszliśmy do wiaduktu kolejowego na Grunwaldzkiej. Cofający się Niemcy wjechali lokomotywą na most i wysadzili go w powietrze. Ulica była zablokowana. Za pomocą czołgu i kilku granatów udało nam się usunąć przeszkodę. Za wiaduktem przeprowadzono nas na ulicę Wita Stwosza, gdzie stała bateria artylerii rosyjskiej. Dla niej przenosiliśmy pociski artyleryjskie.

Po pracy zaprowadzono nas do katedry w Oliwie. U cystersów mieścił się punkt zbiorczy jeńców. Lokowano ich na podłodze w katedrze i w klasztorze. Katedra była odpowiednio przygotowana. Drobne wyposażenie przesunięto pod ściany, podłoga była wyłożona słomą. Pierwszej nocy spałem w katedrze. Przebywali tu żołnierze niemieccy w mundurach, poznałem też kilku, którym udało się przebrać w ubrania cywilne. Wśród zgromadzonych było wielu rannych.

Rano zaczęto tworzyć kolumny marszowe. Mnie z łopatką skierowano do grupy porządkującej teren przy domu opatów. Drugą noc spałem w klasztorze. Było takie przepełnienie, że spałem na ukos na schodach. Leżałem obok rzeźnika z Pruszcza i zawarła znajomość mi się opłacała. Rano przyszedł żołnierz szukający rzeźnika do pracy. Zgłosił się mój znajomy, mnie podał za swojego pomocnika. Żołnierz zaprowadził nas do krowy i strzelił jej w głowę. Rzeźnik kroił, ja ostrzyłem noże i pomagałem. Nikt się nie zorientował w braku fachowości pomocnika. Ponieważ nikt nie był zainteresowany wymionami krowy, po pracy zabrałem jej. Część ugotowałem zaraz nad stawem w puszcze po ogórkach. Wówczas smakowały.

Wieczorem udało mi się przejść wzdłuż parkanu klasztornego. Przeszedłem obok zwłok przykrytych plandekami, minąłem konie kozaków i przeskoczyłem mur na ulicę Opata Rybickiego. Przez pewien czas zostałem mieszkańcem Oliwy.

Przywołując „cywilny” obraz Gdańska czasu wyzwolenia, nie sposób nie sięgnąć do wielokrotnie cytowanej w różnych publikacjach relacji korespondenta PAP Stanisława Strąbskiego z 31 marca 1945 r. Tym razem jednak fragment mniej znany: „Pojawiają się pierwsi mieszkańcy. Przygniatająca większość to starcy, kobiety i trochę dzieci. We framudze drzwi na wyściełanym fotelu siedzi staruszka. Głowa jej bezwładnie na piersi opadła. Tak zmarła w tej wnęce, jedynej ocalałej części domu. Nie ona jedna. Pod sklepioną częścią ruin, czy też wprost na kwietniowym kapuśniaku leżą umierający na siennikach lub materacach. Nikt na nich uwagi nie zwraca. Żyjący włóczą się obok z twarzami zastygłymi od trwogi, z oczami, które widzą tylko bezmiar własnego nieszczęścia i poniżenia”¹⁴.

Minął ostatecznie czas grozy. Uwiktanie w wojnę sprowadziło na winnych karę. Siła odwetu dotknęła również ludność cywilną. Losy gdańskich Niemców zmieszały się z losami gdańszczan polskiego pochodzenia. O tym trzeba pamiętać, bo przy coraz częstszych publikacjach dotyczących tragedii ludności niemieckiej w 1945 r. może umknąć to, że obok niej żyli czekający na zakończenie wojny Polacy. Koniec wojny niósł wspólne cierpienia. Tyle tylko, że dla Polaków zaczęły się one znacznie wcześniej.

¹⁴ Relacja S. Strąbskiego [w:] T. Jankowski, *Miasto...*